

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
Półrocznie	3.50	Otwarte codziennie prócz świąt od	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb.
Kwartalnie	1.75	godziny 11 do 4 pp.	Po tekście - - - - - 20 k.
Miesięcznie	60	Skrzynka pocztowa № 52	
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie	8.--		
Półrocznie	4.00		
Kwartalnie	2.00		
Miesięcznie	70		

Prosimy o odnowienie prenumeraty na rok 1913.

Suum cuique.

Dewizą powyższą chce się kierować „Now. Wriemia“ przy rozstrzyganiu kwestji stosunków polsko-rosyjskich.

Zaiste, trudno o bardziej sprawiedliwą zasadę — w dziedzinie polityki, gdzie dotychczas panuje niepodzielnie wręcz przeciwna — prawo pięści.

Trudność stosowania jej w praktyce polega jednak na tem, że wymaga ona decyzji jakiejś wyższej instancji, jakiegoś trybunału rozjemczego, któryby rozważył zobopólne pretensje i wydał wyrok bezstronny, obowiązujący obie strony.

Może „Now. Wriemia“ zgodziło by się oddać sprawę polską do rozstrzygnięcia sądowi polubownemu, dajmy na to, kongresowi pokojowemu w Hadze lub konferencji ambasadorów w Londynie?

Oczywiście, nie. Rząd rosyjski nigdy dobrowolnie nie przystanie na to, aby kwestja polska nabrała charakteru międzynarodowego. Nawet w teorii jest to wykluczonem. A w takim razie, pięknie brzmiąca maksyma pozostaje tylko pustym frazesem, mającym uzasadnić twierdzenie, które umiemy na pamięć, że na Litwie i Białejrusi, jako w dzielnicach odwiecznie rosyjskich, muszą być stosowane względem żywiołu polskiego prawa wyjątkowe.

Więc bezwzględny ucisk polaków w naszym kraju i szerokie ulgi... w postaci samorządu miejskiego i ziemskiego w Królestwie — oto warunki, na których „Now. Wriemia“ proponuje układ. Zapewne nie jest to ostatnie słowo. Coś nie coś dałoby się jeszcze utargować.

W tej myśli widocznie p. Wojciech Baranowski wystosował w „Kurjerze Litewskim“ list otwarty do Michała Aleksiejewicza Suworina, jako redaktora „Now. Wriemia“.

Przekonywa w nim publicysta wileński nacjonalistę petersburskiego, że rosyjska przezorność polityczna powinna położyć kres prześladowaniu polskości nie tylko nad Wisłą, lecz i nad Niemnem, Wilją, Dnieprem i Prypecią, bowiem właśnie w tych dzielnicach mniejszość polska stanowi materiał „spokojny, twórczy, politycznie zrównoważony“, który doskonale się nadaje do cementowania państwa...

Szkoda tylko, że Michał Aleksiejewicz ani odrobinę nie wierzy tym zapewnieniom lojalnym i wciąż jeszcze szablono-wo posądza szlachtę polską i duchowieństwo o zło-rogie knowania antypaństwowe, całą zaś swą swą nadzieję pokłada w ludzie polskim.

Może po artykule p. Baranowskiego zmieni swe zdanie? Powinien był by zresztą uczynić to już dawniej, po tylu wystąpieniach reprezentantów szlachty polskiej, mających większy wszak walor niż słowo drukowane.

Ale „Now. Wriemia“ wciąż nie może się otrząsnąć z ideologii, zaszczepionej ongiś polityce rosyjskiej przez nieboszczyka Katkowa. Wciąż jeszcze upatruje swych najgroźniejszych wrogów w szlachcie i księżach i wciąż jeszcze ludzi się, że lud polski jest tak samo ciemny jak za czasów Milutina i że czuje niewygasłą wdzięczność do rządu za zniesienie pańszczyzny.

Nie rozumie organ p. Suworina, że w ciągu 50 lat zmieniło się znacznie oblicze narodu polskiego, że zaszły w organizmie jego radykalne przeobrażenia, że pewne części dojrzały, inne zaś się zużyły lub przystosowały do zmienionych warunków bytu.

Gdyby nadeszła godzina próby, gorzkie rozczarowanie musiałyby ogarnąć polityków z „Now. Wriemia“. Dziwić się tylko można, że lata 1905 — 1906 nie nauczyły jeszcze ich patrzeć trzeźwo na społeczeństwo polskie.

Żle więc wyjdzie „Now. Wriemia“, jeżeli pomijając warstwy uprzywilejowane, chce przemawiać do

uczuc i nastrojów polskich elementów demokratycznych. O wiele bardziej twardy to żywioł i o wiele mniej chętny do ustępstw.

Nie zadowolnić go samorządem miejskim ani nawet ziemskim. Potrzebuje on przedewszystkiem tych swobód, których nie da mu „Now. Wriemia“, bo i swemu ludowi ich odmawia, a przytem posiada całą sferę aspiracji, których nie zaspokoi najidealniejszy nawet dobrobyt materialny.

Zasadę *suum cuique* uznaje w całej jej rozciągłości bez żadnych wybiegów dyplomatycznych. Demokracja polska nie żywi żadnych zamiarów zaborczych i nazywa rzeczy po imieniu. Doskonale też rozróżnia, gdzie są ziemie polskie, a gdzie litewskie i ruskie. Tam chce być gospodarzem samodzielnym, tu tylko rości pretensje do stanowiska spółzrędnego z innymi. Ale do roli kolonistów jeno, którą społeczeństwu polskiemu wyznacza „Now. Wriemia“, zechnąć się nie da.

Bo „N. Wriemia“ przypuszcza zapewne, że w naszym kraju polskość reprezentuje wyłącznie szlachta — ziemiaństwo i dlatego z takim lekceważeniem odzywa się o głosach prasy wileńskiej. Oczywiście, gdyby tak było, miało by pewną słusność. Ale czas już chyba był by wielki przekonać się, że jest inaczej, że nie brak tu żywiołów demokratycznych polskich, nad którymi nie sposób przejść do porządku dziennego.

Kwestja polska na Litwie i Rusi nie zniknie przez to, że jej nie uznaje „Now. Wriemia“. Będzie ona wciąż domagała się uregulowania w myśl owej zasady *suum cuique*. Inny ma ona charakter u nas, niż w Królestwie, wszakże nie rozwiąże jej również samorząd ziemski. O miejskim niema co mówić, gdyż ten funkcjonuje oddawna.

Charakterystyczny szczegół stanowi to, że „Now. Wriemia“ w szeregu możliwych ulg wylicza niemal wyłącznie reformy o charakterze ekonomicznym, ani słówkiem zaś nie potrąca o stronę duchową. Nawet tak minimalne żądania w zakresie potrzeb narodowych, jak uwzględnienie języka polskiego w szkołach i urzędach, zostały pominięte milczeniem.

Oczywiście, wobec tak skromnej oferty nawet nasze koła ugodowe nie uważały za możliwe trakto-

wać jej poważnie i zgodnie oświadczyły, że tego stanowczo za mało. Nie tracą jednak, zdaje się, nadziei, że wytargują więcej.

Złudzeń żadnych nie żywi natomiast demokracja polska, rozumiejąc dobrze, że obietnki i zabiegi wpływowego organu są wywołane jedynie przez niepewność sytuacji międzynarodowej. Gra to nazbyt widoczna i z góry skazana na niepowodzenie.

Nie można wszak stawać do licytacji, mając w pugilaresie zamiast papierów wartościowych tylko blankiety wekslowe, gdy jest się nadto znanym jako niewypłacalny dłużnik. Sprytny aferzysta w takim wypadku pośpieszył przynajmniej spłacić najpilniejsze chociażby zaległości, by tą drogą uzyskać znów kredyt i zaufanie.

„Now. Wriemia“ nie zadaje sobie nawet tej fatygi. Wierzy prawdopodobnie w naiwność i potulność społeczeństwa polskiego. Tak czule jest ono wszakże na najbłahszy objaw przychylności, ba, nawet byle uprzejmości!

Tym razem jednak „N. Wriemia“ przerachowało się najwidoczniej. Dwukrotne wystąpienia pojednawcze organu p. Suworina nader zimno zostały powitane przez całą prasę polską, nie wyłączając z obozu endo — ugody. Nikt już nie wierzy ani w szczerość ani w skuteczność enuncjacji, z nad Newy. Nie wzruszają też łaskawe względy i pamięć o sprawie polskiej dziś, gdy najpoważniejsze dzienniki francuskie i angielskie poświęcają jej artykuły wstępne. Wdzięczność jedynie się należy „Now. Wriemia“ za przypomnienie zasady *suum cuique*. Jest to doskonały punkt wyjścia do dalszego postępowania.

L. A.

Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

ZYGMUNT TYSKI.

Piotr Buza.

Chłop bezrolny, Piotr Buza, wysługiwał się czas jakiś w charakterze parobka na ordynarji po różnych dworach i dworkach

Miał żonę, acz jeszcze młodą, już steraną kobietę, sporo drobiazgu w brudnych, zgrzebnych koszulinach, no i jedną krowinę — karmicielkę całej rodziny. Prócz tej „żywołki“, majątek jego ruchomy reprezentowało jeszcze chyba ogromne łóżko z niemalowanymi tarcic sosnowych, mebel przedziwny, prawie równie szeroki, jak długi z notorycznie gnieżdżącym się po szczelinach robactwem wszelkich możliwych kalibrów i zabarwień, — oraz rezydujące w sieni żarna, otrzymane jeszcze w posagu po żonie łącznie z wywzmiankowaną krowiną. Stół zaś i ławy po czworakach były zazwyczaj dworskie, co, naturalnie, zwalniało służących nędzarzy od konieczności zaopatrzenia się w nie.

W pierwszych latach po ślubie młode stadło

rok rocznie ku Bożemu Narodzeniu miewało zwykle już dobrze podkarmionego „parsiućka“, do którego zakłócia przystępowano z uroczystym pietyzmem, ni by do spełnienia jakiegoś kultu religijnego... Ale gdy jęło przybywać dzieciaków i coraz więcej gąb czyhało żarłocznie na ojcowską ordynarję, którą powiększyć z tego tytułu, oczywiście, ani śniło się chlebodawcom — nie stawało już pedantycznie wymierzanego czy ważonego zboża na karmnika i trzeba się było stale obywać bez omasty.

Buza, jako pur sang analfabeta z dziada pradziada, oczywiście, nie czytywał gazet. Nie mógł tedy w swych zajadłych suplikacjach o mizerną nadwagę przy pobieraniu co kwartał ważonego zboża powoływać się na... Wilhelma II-go, który jakoś w tych czasach właśnie wyjednywał sobie od parlamentu Rzeszy podwyższenie listy cywilnej o kilka milionów z okazji — rozrodcej energii cnych Hohenzollernów. Ale co cesarz zjednoczonych Niemiec, to nie — Buza, ordynarjusz w jakimś zapadłym kącie Litwy. luści... Quod licet lovi, non licet bovi. —

I dlatego, być może, Buza do fanatycznie nieustępliwych, obojętnych ekonomów, oraz skąpych dziedziców, niekiedy osobiście wydających ordynarję,

Sprawa polska w prasie angielskiej.

Londyn 13 lutego 1913 r.

Od chwili zatargu bałkańskiego sprawa polska wróciła znowu powrotną falą do Europy.

Szczupłe grono sympatyków na wszystkich krańcach kontynentu przypominać jeło publicznej opinii, że naród dwudziestomiljonowy żyje i poważnie może nie mało na ułożeniu się stosunków międzynarodowych.

W Anglii zrazu szczupłe, transportowane drogą na Wiedeń, nowiny jeły głosić o zmobilizowaniu sił polskich w Galicji, o nadziejach i planach.

A później przyszła kwestja wywłaszczenia, pogrom polityki hakatystycznej w parlamencie Rzeszy.

W Anglii urzędowej, w stronnictwach rządzących kierowanych orjentacją sira Greya — a więc broniącą interesów trój porozumienia — nie na rękę może wypadło gwałtowne wysunięcie sprawy polskiej w związku z komplikacjami bałkańskimi.

Odezwała się jednak prasa niezależna, — nie utrzymująca kontaktu z rządem — nie mniej jednak wpływowa i poczytna.

Przemówił „John Bull“ — potentat liczący z górą milion odbiorców — a kilkakroć razy tyle czytelników i wystąpił z napiętnowaniem wywłaszczenia — polityki gwałtu i grabieży.

Gdy przed niedawnym jeszcze czasem grono tutejszych polaków usiłowało zapoznać opinię angielską z prawem wywłaszczenia, spotkało się z obojętnością, a nawet niechęcią.

Polska stała się kamertonem regulującym skalę sprawiedliwości narodów — Polska — zwaną Irlandją środkowej Europy. Przeciż w Westminsterze rozgrywał się ostatni akt „samorządu Irlandji“ — przeciwko której opozycja konserwatyistów wyciągała największe działa — byle tylko nie dopuścić do uchwały w izbie poselskiej.

— nie żywił najmniejszej nienawiści. Targował się, skamlał, złorzeczył, rozpinał, bo — musiał i ostatecznie, co wyprosił, było jego, ale w duszy postępowaniu swych chlebobawców przyznawał zupełną słusność. Gdyby był na ich miejscu, postępowałby tak samo, a może nawet był jeszcze twardszy od nich, jeszcze skrzętniej zabiegał o każde swe ziarenko. Zakuta mózgownica kartoflarza nie mogła zdobyć się w najmniejszym stopniu na jakiś szerszy, ogólniejszy pogląd. Wulgarny, zwierzęcy egoizm był tu jedynym punktem wyjścia, jedyną miarodajną instancją. Ale zapatrując się na wsze sprawy z najbardziej egoistycznego punktu widzenia, Buza nie potępił podobnego stanowiska u innych. Owszem — było to dlań powodem bardzo pochlebnego mniemania o nich. Tylko tacy ludzie właśnie mogli być — zdaniem jego — uważani za rozumnych. O ile zaś przyszło mu w życiu zetknąć się wyjątkowo z osobnikami bezinteresownymi, uczynnymi, gotowymi do poświęcenia się i ofiar — juści naciągał ich, ile się dało, wychwalając z wstrętną uniżonością w oczy i za oczy, ale w duszy uważał ich za wierutnych głupców, o ile nie wietrzył w ich postępowaniu jakichś podstępnych, tajemniczych celów.

W takich wypadkach poruszanie sprawy polskiej — byłoby niebezpiecznym i niepożądanym atutem na korzyść Irlandji.

Prasa konserwatywna dyskretnie więc przemilczała kwestję polską.

Po pamiętnym bilu i zyciestwie opozycji — gdy lordowie ostatecznie wypowiedzieli swe — veto — atmosfera dla Polski stała się przyjazną — ba nawet weszła w fazę serdeczności — tak dobrze niestety znanej nam w historii porozbiorowej.

Tygodnik „Everyman“ i „Fall Mall Magazine“, poświęciły Polsce szczególną uwagę.

I zgodnie zapatrują się pisma, że sprawa Polski nie jest wewnętrzną jakąś troską tego lub owego państwa, ale kwestją pierwszej wagi — zasługującą na wielką rozwagę, bo najbliższy zatarg jaki wstrząśnie Europą, rozgrywać się będzie na terenie tego narodu, który dzięki swym osobliwym darom natury zajmuje poczesne miejsce w cywilizacji.

Tygodnik „Everyman“ z rzadką jak na cudzoziemskiego pisarza znajomością spraw polskich ocenia położenie trzech zaborów i do tej dochodzi konkluzji.

Polską należy się interesować, bo jest to naród, który przez wieki całe stał na straży zachodnio-europejskiej cywilizacji.

O Polsce nie należy zapominać — bo stała się ona ofiarą prześladowań — wobec których każdy człowiek wierzący w sprawiedliwość nie może przejść obojętnie.

O Polsce musimy pamiętać, bo być może najbliższe już wypadki zgotują jej inną przyszłość.

Autor angielski poznał stosunki polskie na miejscu; bawił w Księstwie, Królestwie i Galicji.

Z pobytu na ziemiach polskich najlepsze wrażenie wyniósł z Galicji.

Charakteryzuje ją w sposób następujący.

Galicja jedna z najbardziej nieuległych prowincji — przemieniła się z biegiem czasu w najlojalniejszą część monarchji austriacko-węgierskiej.

Rezultaty polskiej autonomji w Galicji — która tak bardzo wzmogła kraj — najlepszą są od-

Tak tedy zasada: homo homini lupus nie przemawiała go bynajmniej zgrozą. Przeciwnie, zdawała się lojalnem stwierdzeniem jedynie możliwego stanu rzeczy. Było to jasne, jak słońce, co świeci — no, a świeci oczywiście potę, by się ludziska wzajem żarły... Rzecz prosta, że nie widział najmniejszej potrzeby stawiania jakichśkolwiek tam swemu żarłoczemu, chłopskiemu, żywiołowemu egoizmowi. Rolę ich aż nadto gorliwie spełniały reagowania innych egoizmów, z którymi wprost lub pośrednio się stykał. One jego ekspansję nietylko mitygowały, ale ujmując w karby należyte, ubezwładniały w zupełności. Przytem jednak i same traciły swój pierwotny impet, swój rozmach, niejało się regulowały i przytępiały. Ta koncepcja nieustannego ścierania się egoizmów, które się przytem w większym lub mniejszym stopniu normują i umożliwiają tem samem jaki taki ład na świecie — była podstawą światopoglądu Buzy, kamieniem węgielnym jego chłopskiej „zdrowej“ filozofji. Oczywiście nigdy o tem nie myślał, nie wyindukowywał tego sobie detalicznie i stopniowo z całą świadomością i krytycyzmem, ale powyższa percepcja tkwiła niejako w korzeniach jego duszy, była punktem wyjścia wszystkich jego odruchów, jak i obmyślanych sposo-

powiedzią dla tych, którzy twierdzą — że polski naród nie dorósł do samorządu.

Zabór rosyjski określa angielski pisarz — jako kraj bogaty, przemysłowy i kupiecki który, pomimo tego nie przynosi szczęścia ludności w niem zamieszkałej.

Warszawa jedno z najweselszych niegdyś miast, budzi przygnębiające uczucie, a przejezdny doznaje wrażenia jakby przybył do obleganej twierdzy.

Niema w niej życia politycznego, i uderza brak jakiegokolwiek opinii.

Żyje się w dusznej atmosferze.

W Księstwie, zdaniem angielskiego autora, przedstawiają się stosunki bardziej jeszcze niepomysłnie.

Prusak wywłaszcza, wypędza z ziemi ojców, ale przy tej sposobności oczernia swoją ofiarę, prawiąc o misji cywilizatorskiej — tak jak by naród, który posiada własną sztukę, literaturę i naukę, potrzebował pruskiej kultury.

Tego samego zdania co autor z „Everyman“ — jest pan Hilaire Belloc — który w „Pall. Mall Magazine“ poświęca sprawie polskiej obszerny artykuł.

Być może — pisze angielski publicysta, że w najbliższej już przyszłości będziemy się musieli liczyć z dokonaniem faktu powstania państwowości polskiej.

Zadziwiająco to zjawisko w dziejach społeczeństwa Europy, by naród liczący z górą dwudziestomilionową ludność, posiadający niezwykle bogatą literaturę, słynny z swej rycerskiej przeszłości — mógł być wykreślonym z mapy europejskiej.

Szaleństwem jednak byłoby zapominać, że Polska istnieje. Naród bowiem nie tylko wzrósł liczebnie, ale wzmógł się w dobrobyt — nadewszystko jasność celu i gotowość do czynu spaja go w jedność.

Los wszystkich trzech zaborów jest różny.

Rusyfikacja nie osiągnęła żadnych sukcesów.

Metodyczny — niemilosierny ucisk pruski nie przyniósł spodziewanych rezultatów.

Polacy wzrosli liczebnie — posunęli się w nabytkach terytorjalnych bardziej na zachód, a na-

bów działania. Z tem wszystkim ten proletariusz zepchnięty na samo dno niedoli ludzkiej, skazany dożywotnio na pracę upadającą i ostateczne zezwierzecenie, często gęsto nie mający za co kupić szczypty soli do warzy, jakiej z pewnością nie tknąłby ostentacyjnie pies jako tako utrzymany, — ten parjas w łachmanach, kapiący cuchnącym potem i wszami, — ten urodzony bezspodniowiec — wcale nie był — jakby to zdawać się mogło — jakimś nieuleczalnym pesymistą, czy mizantropem, a już co najmniej: radykałem, wywrotowcem, „prochem oczekującym iskry“ — jak lubią po dyletancku charakteryzować podobne okazy mówcy mityngowi.

Oczywiście bez ryzyka można było kwalifikować Bużę jako do pewnego stopnia optymistę, no i — zachowawcę. Stanowisko to było konsekwencją jego egoistycznych, samolubnych tendencji. Buża, jak wogóle wszyscy konserwatyści, nie mógł zdobyć się na obiektywne wartościowanie otaczającego go świata — wzbic się na wyżyny bezinteresowności, altruizmu, poświęcenia, co zawsze było i po wsze czasy będzie jedynym punktem wyjścia dla wszelkich humanitarnych poczynań i usiłowań reform społecznych. Otóż Buża nie pożądał w istniejących stosunkach żadnych

wet jako wyżsi inteligencją od prusaków, wdarli się w serce niemieckiego przemysłu.

W Austrii polacy są wolni i dlatego stamtąd płyną najszczytniejsze hasła odrodzenia narodowego.

Przebudzenie się Polski — jest dla Prus wielkim niebezpieczeństwem, a to tylko z powodu zasadniczo mylnej polityki pruskiej, która z dniem każdym popełnia coraz nowe błędy!!

Angielski dziennikarz bawił na ziemiach Polski — „dotykał ręką“ grobów królewskich w Krakowie, odwiedził Mazowsze i Księstwo, od Torunia, po przez całą dolinę Wisły, obiegł kraj. — To jedno powiedzenie: „Wierzę w Polskę“ aż nadto dobrze charakteryzuje wrażenia cudzoziemców.

Czy jednak te uwagi i spostrzeżenia obojętnych nam zresztą obcokrajowców mają pewne realne znaczenie?

Bezwątpienia jedną tylko korzyść wyciągnąć należy z tej dziennikarskiej alchemii — poczucie i zrozumienie swej własnej siły.

Dr. Kazimierz Wrzos.

▷○○○○○○○○◁

Nad Wartą.

(Korespondencja własna „Przeglądu Wileńskiego“).

Poznań, d. 12 lutego.

W prasie naszej — zwłaszcza warszawskiej — ujawnia się coraz wyraźniej demoralizujący wpływ stosunków. Gdy przeglądam pisma tamtejsze, doznaję często wrażenia, jakbym patrzył na psa łańcuszkowego, który rzuca się, a właściwie tylko szczeka na wszystkich, łasząc się jeno do pana, co go w obrozę ustroił.

Niestety, przyznać trzeba, że znikczemnienie to wzoruje się w praktyce na metodach, ongi stosowanych przez polskie tygodniki postępowe. One to, mając kagańce najmocniej zaciągnięte, wprowadziły zwyczaj gryzienia... wedle możliwości. Więc stawały pod pręgierzem centralizm austriacki, opor-

zmian, reform, ulepszeń. Poco to, kiedy wszystko było w sam raz, nic ująć, nic dodać. Świat był urządzony znakomicie — i pomyśleć coś lepszego poprostu nie leżało w sferze możliwości ludzkich. Ogrom jego i misterność oszalała i przytłaczały, wywołując w duszy jakieś uwielbienie nieśmiałe. Czyż wszystko na nim nie było doskonałe, celowe, pożyteczne, smaczne? Naprzykład: kapuśniak ze świniną, jaki w pierwszych latach po ślubie zjadał z Hanną — i jej wypieku razowiec na liściach klonowych z umiarem kiszony, pulchny, dziurkowaty — i sama ona, Hanna, „kabieta kiej wata“ a jurna, nienasytna zwłaszcza w miodowych miesiącach przed pierworodzeniem — i krowka dająca nabiał — i „bulbeczka“ rodząca w polu — i piwo w Ejszyszkach u Mordki — i manapolka kazionna — wszystko, wszystko...

— Ach! ludcy wy moje, czegoż tutaj żydać więcej?...

W tym najlepszym ze światów, ażeby już był chyba rajem ziemskim, należało tylko zrobić śmiesznie drobną, nic nieznaczącą, niemal niedostrzegalną poprawkę. Polegała ona na manipulacji nie do uwierzenia prostej. Mówiąc figurycznie, należało bezspo-

tunizm francuski, imperjalizm angielski, trusty amerykańskie etc. Była to smutna konieczność. Nieliczni myślący i inteligentni czytelnicy artykuły te odcyfrowywać umieli, czerpiąc z nich równocześnie pewne aktualne, pożyteczne wiadomości. Ogół jednak coraz mocniej tylko utrwał się w przekonaniu, że — „wszędzie jest źle“.

Największą przysługę oddała prasie warszawskiej hakata. Tu już naprawdę można było pokazać pazury jaknajtańszym kosztem. Najmizerniejsze świstki pseudo-humorystyczne dosiadały tego wygodnego konika i udawały bojowników narodowych.

A w biednych głowach czytającej rzeszy urabiało się przeświadczenie: „wszędzie jest źle, a w Poznaniu najgorzej“...

Chcąc właśnie zbliżyć się do prowincji, w której polakom jest *najgorzej*, osiadłem teraz w Poznaniu. Pozwól tedy, szanowny czytelniku, że ci kilku sylwetkami smutny ten stan zilustruję.

* * *

Gdym tu przybył, na dworcu spotkałem znajomego. Zaczęła się, oczywiście, rozmowa o stosunkach publicznych.

— Pamiętaj pan — powiada wreszcie — że bojkotujemy handel niemiecki. Kupujemy tylko u kupców polskich. Muszę pana odrazu zaagitować.

— Dobrze — odparłem — zastosuję się już choćby dlatego, że imponuje mi każda planowa akcja społeczna. Ale w jaki sposób odróżnię sklep polski od niepolskiego? Z nazwiska?

— O nie! Mamy tu polaków o nazwiskach czysto niemieckich i naodwrot. Ale poznać przecież łatwo.

— Jakże to?

— Ano, jeżeli nad sklepem jest tylko szyld polski, albo też wisi on na pierwszym miejscu, przed niemieckim...

— Więc kupcy tutejsi nie są zmuszeni posiadać napisy w języku urzędowym?

— No, jeszczeby tego brakowało — odpowiedział, patrząc na mnie zdziwiony.

* * *

dniowca Bużę obdarzyć... spodniami t. j. kilku morgami gruntu. Oh! gdyby jemu te kilka morgów ziemi... Buza pojmował jednak doskonale, że tego szczęścia na tym tak ukochanym przez siebie świecie nie potrafi osiągnąć osobistymi wysiłkami. Choćby ze skóry laź, choćby duszą rzygał — może tylko przeżyć, przymierając mniej więcej głodem. A nikt przecież i piędzi ziemi ani daruje, ani da sobie wydrzeć: każdy jej się trzyma zębami i pazurami. — Uświadamianie sobie tych faktów już po stokroć uświadomionych, bolesne ich konstatowanie i rozpamiętywanie nie mogły jednak wyrwać z duszy nędzarza pragnienia jedyne... Wrosło ono w tę duszę tak, że tylko chyba z nią razem w chwili śmierci opuściłoby ten kadłub wyschły, koscisty, zczerniały o mięśniach ze stali. Widząc na drodze ku swojemu urzeczywistnieniu nieprzeżone zapory, myśl, wyciężana straszliwie, kurczyła się, jak robak zdeptyany, wciągała w siebie, skłębiała potwornie, by z przekorną ostentacją rozpalić się pod czaską w miraż porywający, w fantasmagorię świetną. Wyobrażał sobie tedy Buza wciąż jakieś nadzwyczajności, które mimo wszystko miały go niejako extra ordinem uczynić „aktorem“. Zamknięty w sobie, małowówny, posepny

W kilka dni potem zaczęły ukazywać się w pismach jednobrzmiące wezwania do gromadnego zbierania się na wiece, protestujące przeciw wywłaszczeniu.

Niema miasteczka, w ktorem nie odbyłoby się takie zgromadzenie. Tysiące ludu ze wszech stron na nie ściągały. Ponieważ sam Poznań ulega „prawu kagańcowemu“ (jako nie posiadający, wedle sfałszowanej statystyki, 60% polaków), wiec protestujący urządzono o kilka kilometrów dalej — w Urbanowie. I oto w oznaczonym zgóry i w dziennikach ogłoszonym dniu, cały polski Poznań tłumnie na to przedmieście wyruszył. Istne pochody ciągnęły ulicami przed oczyma zirytowanych hakatystów i godnie wartujących „szucmanów“.

Olbrzymią salę szczelnie wypełniła publiczność, ciżbę pozostawiając na dworze. W obliczu pilnujących porządku przedstawicieli władzy, rozpoczęły się obrady. Na trybunę kolejno wstępowali mówcy i gromy ciskali, zachęcając do walki z rządem.

Potem zaczęły napływać depesze, donoszące o podobnych wiecach, urządzanych w Galicji, Czechach, Chorwacji — ba! we Francji nawet.

Tylko z Warszawy depeszy nie było.

* * *

A na wszystkich tych zebraniach zapadła uchwała — gromadzić „fundusz narodowy“.

Odtąd w pismach zaczęły ukazywać się długie listy ofiar i płomienne zachęty do dalszego ich składania.

Przeznaczeniem kapitału tego ma być służenie akcji, przeciwdziałającej germanizacyjnym zamachom rządu.

— I robicie to tak bez żadnej konspiracji?

— POCO? — zdziwił się mój przyjaciel — przecież to robota zupełnie legalna. Toć bronić się wolno chyba wszędzie

Usiłowałem wyprowadzić poznańczyka z błędu, ale mi nie wierzył.

Jest słowianofilem.

* * *

wytrwale wyczekiwał tego cudu, tego szczęśliwego trafu, śniąc niekiedy poprostu na jawie.

I zaprawdę czyż nie mógłby się zdarzyć rzeczywiście taki naprzykład przypadek, postokroć oglądany oczyma duszy maniaka? Oto Buza powraca sobie najzwyczajniej dniem czwartkowym z kiermaszu w Ejszyszkach. Miał do sprzedania 50 funtów siemienia. „Odprosił się“ przeto z wieczora — i pan go na dziś uwolnił. Siemię naturalnie spieniężył u Mordki, który ma „honesty“ zwyczaj po obiciu targu częstować „likierem“, smakołykiem nielada, pędzonym przez Mordkę tajemnie z politory z dodaniem sacharyny i anodyny. Następnie pogapił się trochę na rynku, pogadał z tym i owym, wreszcie kupił czego było potrzeba — i hajda z powrotem! Co się ma później — trzy mile drogi przed nim. W torbie na plecach niesie kupione zapalki, dwa garnce soli, skórę na podłatki do chodaków i dwie bułki po sześć groszy dla najmłodszego, co to już wypadło odłączyć, gdyż baba znowu „gruba“...

Pod koniec stycznia rozpoczęły się gwałty policji pruskiej. Tu i owdzie nie podobało jej się tolerować obchodów pięćdziesięciolecia. Ponieważ nie było szans zdobycia pozwolenia na zgromadzenia publiczne, postanowiono urządzać je w „zamkniętych kółkach, za zaproszeniami“.

Jedno z takich „zamkniętych kółek“ zebrało się w sali poznańskiego „Bazaru“ (jest to największy tutaj hotel, założony przez spółkę polską).

W tej sali właśnie byłem świadkiem gwałtu. A gwałt ów wyglądał tak:

Gdy wobec przeszło tysiąca osób zaczęto wygłaszać mowy i deklamacje patryjotyczne, zjawił się niespodzianie komisarz policji; podszedł do trybuny i jał coś żywo perswadować przewodniczącemu. Ten protestował:

— To nie jest żaden wiec publiczny i pan nie masz wcale prawa tu wkraczać. Jest to zamknięte kółko towarzyskie.

Komisarz rezejrzał się po tłumie z wyrazem powątpiewania.

— Ha! — rzekł po chwili — to mnie pan zaskarżysz do sądu, ale ja jednak zebranie rozwiążę.

Wtem spostrzegł, że deklamator przestał mówić. Na obliczu policjanta odmalowało się coś, jakby bezradność.

— Ależ mów pan dalej — powiada — bo gdy pan milczysz, nie mam prawa rozwiązywać zebrania.

Ostatecznie zamknął je sam przewodniczący, wybawiając z kłopotu reprezentanta władzy.

W odpowiedzi na ten i jemu podobne gwałty, prasa gromko nawołuje do wytaczania procesów policji, a do Sejmu wniesiono już interpelacje.

Szanowny czytelniku z Wilna, może sądzisz, że to nie był gwałt?

Poznańczyk jest innego zdania i ma zupełną podstawę tak sądzić. Odróżnia on bardzo subtelnie prawo od bezprawia i każdy czyn władzy, odchylający się od ścisłej legalności, po imieniu nazywa.

* * *

Były urodziny Wilhelma.

Na placach publicznych parada wojskowa. Orkiestry grają; żołnierze po ulicach obnoszą sztandary. Wszędzie oficerowie w galowych mundurach i tłumy wystrojonej odświętnie publiczności, rozmawiającej wyłącznie po niemiecku.

Na bardzo wielu łopocą flagi czarno-czerwono-białe. W oknach pootwieranych i nie przerywających handlu sklepów — portrety cesarskie, kwieciami przystrojone. Najpatryjotyczniejsi okazują się szynkarze. Prawie każdy z nich ma w wystawie gipsowego Wilhelma, obstawionego butelkami po sznapsie, w które powtykano świece.

— Skąd pochodzi ten specjalny zapach restauratorów?

— Bo i tak wystawy mają puste.

— Aha...

Lecz widzę też sporo domów i sklepów, ignorujących „święto narodowe“. Większość ma szyldy polskie, ale są i niemieccy kupcy, którzy w uroczystości nie biorą udziału. Inni znów wyzyskali ją zrećnie dla reklamy. Jakiś krawiec postawił w oknie całego woskowego Wilhelma (jak w pannopticum) i ustroił go w nowiuteńki mundur własnego wyrobu.

Wchodzę do jednego z polskich, nieprzybranych sklepów.

— A pan nic nie urządził?

— Jeszcze czego? Za co? Za to, że nas traktuje, jak obywateli drugiego stopnia? Niedoczekanie.

* * *

Był tu cesarz kilku dni temu przejazdem. Ale nie czuje się, widać, dobrze w Poznaniu. Cała okolica zamku obstawiona była wojskiem; wciągu kilku godzin ruch był wstrzymany na niektórych ulicach.

— Czego on się boi? — powiada jakiś robotnik, wzruszając ramionami. — Czyżby już tak mu dokuczowało sumienie?

J. S.

◀○○○○○○○○○▶

Arystydes Briand.

Paryż, w lutym.

Arystydes Briand wrócił znowu do władzy. Wiedzano o tem oddawna, że kombinacja polityczna, która prowadzić miała pana Poincaré ku szczytom prezydentury francuskiej złoży znowu losy polityki francuskiej w ręce p. Brianda, od roku znowu ministra sprawiedliwości i wiceprezydenta rady ministrów w gabinecie Poincaré. Pan Briand należał do aranżerów tej kombinacji politycznej. Był może jednym z głównych jej reżyserów. Kiedy wiadomem się stało, że Leon Bourgeois, chory oddawna na djabetes, nie może brać na siebie ciężkich obowiązków reprezentacyjnych, że, innemi słowy, znika najpoważniejszy kontrkandydat, Briand zaczął całą siłą pary pchać naprzód Poincarégo. Droga była kamienista, pełna błota i wybojów. Dygresja — niewiadomo przypadkowa czy świadoma — Millerand'a odebrała Poincarému głosy radykałów, których kandydatem nigdy nie był, którzy jednak poza Bourgeois nie mieli kandydata, pewnego poparcia Kongresu. Wysłunięto kandydaturę niejakiego Pamsa, człowieka ducha winnego Bogu i... p. Clémenceau. Kiedy chodzi o „podstawianie nogi“ — wiadomo, że niemasz nad p. Clémenceau, „tygrysem“ zwanego. To też p. Briand miał sprawę niełatwą.

Na próbie gieneralnej w Senacie, gdzie hałasy były tak wielkie, że woźni musieli gasić światło i w ten sposób zmuszali deputowanych i senatorów do rozejścia się, zdawało się, że Poincaré nie ma widoków. P. Clémenceau „radził“ mu, aby sam lepiej ustąpił. Twardy atoli lotaryńczyk nie ustąpił: Briand był optymistą do ostatniej chwili, a p. Poincaré wierzył w gwiazdę, w nos Brianda. Teraz jest prezydentem republiki. Rzecz jasna, że pan Briand nie mógł nie zostać prezydentem rady ministrów.

Jest to zwycięstwo, przedmiot emulacji, bezwzględnej walki kilkudziesięciu „najsilniejszych“ ludzi w Izbie i w Senacie. Tu i tam są klany *ministrables'ów* t. j. kandydatów na ministrów i prezesów rady. „Większość“ w Izbie nie jest stała (jak dotychczas w parlamencie W. Brytanji). Premjera i ministrów (według ustawy) dowolnie wybiera prezydent rzeczypospolitej i w zależności od osoby premjera tworzy się większość (w Anglii wiadomo zgóry, kto będzie premjerem: zawsze przewodca stronnictwa mającego większość za sobą

w parlamencie), większość niestała, ulegająca zmianom w zależności od poszczególnych kwestji politycznej czy społecznej natury. Powietrze nigdy nie jest czyste, wolne od obłoków, premier rzadko może przewidywać: ile tygodni będzie jeszcze w władzy; konkurenci nie śpią, każdy ma za sobą grupę, równie lotną i bujną. Nieostrożny krok premiera, nie na trybunie, a w kularach Izby, nawet w prywatnym życiu — mobilizuje wszak niezadowolonych, interpelacja gotowa, a interpelacje nie rzadko zamykają porządki dzienne, grzebiące ministerja.

„Wielkie ministerjum“ Poincarégo trzymało się rok cały nie tylko talentem premiera i jego nadzwyczajnym szczęściem, ale i dlatego, że cały szereg spółzawodników zgodził się „ze względu na sytuację wysoce poważną“ zająć w tem ministerjum stanowiska członków orkiestry, zrzekając się paleczki dyrektorskiej na rzecz jednego, bardzo umiarkowanego *outsider'a* senatora Poincaré. Pan Briand nie miał tego szczęścia. Do jego gabinetu nie chciał wejść ani Bourgeois, ani Ribot, podobno kilku innych. Trzeba było odwołać się do pomocy kilku drugoplanowych osobistości, bądź oddawna nieczynnych, bądź nielubianych i nieszanowanych. Pan Jonnart był gubernatorem Algieru, od kilku lat w dymisji, pan Etienne, „człowiek“ niegdyś Gambetty — obaj wielcy gieszefciarze, spekulanci gruntowi w Algierze, dobrze tam znienawidzeni, niechętnie widziani w Izbie, w opinji publicznej wymieniani bez szacunku (pomimo, że p. Etienne jest wiceprezydentem Izby). Deklaracja ministerjalna przyjęta raczej zimno, pomimo że pełna obietnic natury społecznej powinna była zdobyć sympatje radykałów, socjalistów i zneutralizować nienawiści skrajnej lewicy.

Kto był w Izbie owego piątku 24 stycznia 1913 roku, wynosił wrażenie, że Izba nie przepowiada długich miesięcy życia ministerjum p. Brianda. Nie dlatego, iżby odrazu wypowiedziała mu walkę. Nie. Skrajna lewica zachowywała się raczej spokojnie. Nawet osobiści wrogowie p. Brianda towarzyszy Colly, towarzyszy Lauche siedzieli spokojniej niż zazwyczaj: nie rzucali w p. Brianda ani tekami, ani kamieniami krwawej obrazy, nie grozili kulakami. Nastrój Izby był raczej żartobliwy, pełen ironicznej rezerwy. Pan Briand w przerwie zemdlął, jak mówiono z powodu gorąca, niestrawnego śniadania. Znalazła się większość przyzwolna, wyczekująca. „Zobaczmy“ — mówił p. Charles Benoist, przewodca zwolenników reformy prawa wyborczego. „Zobaczmy“ — mówił p. Thomson, przewodca przeciwników tej reformy. Reforma jest obecnie w senacie, gdzie podobno nie ma większości. O p. Briandzie nie wiadomo, po czyjej jest stronie. Formalnie *musi* być za reformą, którą uznał za swoją i przeprowadził p. Poincaré. Ale opinie pana Brianda!...

Jest to bardzo ciekawa postać w tym najciekawszym parlamencie świata. Śród dziesiątków najzdolniejszych ludzi Francji, on jest najzdolniejszy. Mówca pierwszorzędny, czarujący, psycholog, akrobata, cynik, kabotyn — wszystko w stopniu bardzo wysokim. Gdyby było prawdą w części chociażby, co o nim złe języki mówią, — nie mógłby odgrywać roli w życiu publicznym. Czegoż o nim nie mówią, nie gadają publicznie, nie wypisują przeciwnicy! Co prawda, „opinja publiczna“ jest to instytucja dosyć złożona — opinji „poruszalnej“ niema wcale w życiu dzisiejszem rozbitem na klasy, na grupy, na klany. Pan Briand miał za sobą różne grzechy młodości, był wykreślony

z listy adwokatów w Saint-Nazaire, nie został przyjęty do adwokatury paryskiej, — gdy zaczął odgrywać wielką, dominującą rolę w proletariacie w syndykalizmie paryskim, „Opinja powszechna“ nie przeszkadzała mu zająć tego stanowiska. Został przyjacielem najbliższym p. Jaurésa. Został deputowanym, ministrem.

P. Briand miał ciężką młodość. Pochodził z rodziny ubogich pobożnych rybaków w Nantes. Śród kolegów uchodził zawsze za chłopca wielkich zdolności, mówca pierwszorzędny. Spotkał się Fernandem Pelloutier'em, entuzjastą szlachetnym zmarłym w 33 roku życia na gruźlicę, ale zanim życie zakończył, zdążył jeszcze zbudować i ugruntować teoretycznie i praktycznie ruch syndykalistyczny nowoczesny. Pelloutier wierzył w Brianda i postanowił poprzeć jego kandydaturę do parlamentu z Saint-Nazaire. Było to w r. 1889. Briand nie przeszedł. Ale poczuł, że ruch syndykalistyczny będzie gruntem, na którym urosnie jego sława. Trzeba zwrócić na siebie uwagę robotników, trzeba zdobyć miejsce około uznanych powag w świecie robotniczym.

W roku 1892 w Marsylii zdobywa pierwsze ostrogi. Jako delegat giełdy pracy w Nantes występuje z referatem w obronie „strajku powszechnego“. Spokojny, zimny nader wymowny uderza w najczulsze struny syndykalistów. Opanowuje ich uczucia, sny o potędze dzisiejszych nędzarzy, sny o zwycięstwie — zwyciężonych dnia dzisiejszego. Opanowuje ich umysły. Bez dyskusji, przez aklamację gromada przyjmuje wnioski referenta. Syndykalistom rodził się wtedy mówca z bożej łaski, Jaurésowi równy u socjalistów. Briand utrzymuje czas jakiś dobre stosunki z Guesde'm, który podówczas był u szczytu powodzenia: syndykaliści byli z Guesde'm w zgodzie. Ale wnet Guesde — przeciwnik zasadniczy (za przykładem socjalistów niemieckich) strajku powszechnego — zauważył, że wpływ Brianda zaczyna mu wchodzić w parady. W 1894 r. w Nantes syndykaliści - guesdyści zwalczają „strajk powszechny“, zwalczają i Brianda. Nadaremnie. Wytknięto mu w tem spotkaniu, że jest adwokatem. Nie trudno pokonać demagoga. „Byłem adwokatem, odpowie Briand, przestałem nim być. Dziś jestem prostym urzędnikiem, ciężko pracującym na chleb. Domaganie się, abym powrócił do adwokatury. Przypuszczano bowiem, że mogę na tem stanowisku nie jedną oddać przysługę. Nie mogę uczynić tego, nie posiadając środków na umebłowanie mieszkania*). A wy zarzucacie mi, że jestem adwokatem!“... Gedyści opuścili owo zebranie. Briand urósł jeszcze o pół metra w przekonaniu zwolenników.

Zostaje redaktorem dziennika lewicowego „La Lanterne“. Zbliży się do Jaurésa, do Milleranda. Píše wtedy wiele, wiele artykułów anarchistycznych o strajku, kuje broń na użytek syndykalistów, jeździ po Francji ucząc, propagując, tworząc kadry nowych organizacji robotniczych. Czardziej słowa i obejścia, psycholog i wirtuoz niezrównany zyskuje serca tęskniące do lepszych czasów. Briand broni Jaurésa, broni Milleranda, broni akcesu do rządu, broni udziału w rządzie, broni Milleranda przed bezwzględnością towarzysów, aż do końca umiejętnie wyzyskuje błędy gedystów, którzy polityką ustępstw i tranzakcji

*) Aby być przyjętym do korporacji adwokatów we Francji, trzeba między innymi wykazać się posiadaniem mieszkania i własnych mebli.

przygotowali tylko tę tranzakcję ostateczną. Broni tu — tak dawno już — i swojej przyszłej sprawy, i swoich tranzakcji ostatecznych „przygotowanych, zapewne, przez poprzedników”. Syndykalistów to niewiele obchodzi. Syndykalisci bowiem zwalczają pracę w parlamencie.

(D. c. n.)

Stanisław Posner.

▷○○○○○○○○◁

Suфраżystki angielskie.

Co pewien czas to tu, to owdzie odzywają się głosy, ubolewające, że tak mało znamy w świecie; że w chwilach jeno wyjątkowych świat ten nas sobie przypomina; że z wolna zapadamy się w jakąś otchłań, od której i do której żadne nie prowadzą drogi.

A ilekroć tego rodzaju lament się odezwie, żal mamy do całej niewdzięcznej ludzkości, do cywilizacji, postępu — słowem do wszystkiego i do wszystkich, tylko nie do siebie. Tymczasem nie orjentujemy się zupełnie, że to nie świat nam się sprzeniewierza, ale my światu; że nie on pozostawia nas złośliwie w tyle, idąc swoją drogą, lecz sami dobrowolnie uparliśmy się stać w miejscu.

Że tak jest rzeczywiście, przekonać się łatwo w chwilach, gdy gdzieś na obczyźnie dokonywane są jakiegokolwiek reformy społeczne. Wówczas to ze szczególną mocą uwydatnia się olbrzymie nasze oddalenie od stosunków i dążeń, właściwych obecnie ludom, kulturalnie przodującym.

Weźmy chociażby aktualną sprawę suфраżystek angielskich.

Dziś, gdy nad Tamizą odezwali się w tej kwestji ministrowie, parlament i najmiarodajniejsi przedstawiciele opinii publicznej, widzimy, że w Anglii nawet najgwałtowniejsi przeciwnicy równouprawnienia kobiet absolutnie dojśćby nie mogli do porozumienia ze swymi stronnikami z nad Wisły, Warty i Wilji. Przypomnijmy sobie tylko, jak tę sprawę traktowała duża większość pism polskich? Zupełnie tak, jakby suфраżystki były banda warjatek, śmiesznych, w najlepszym razie politowania godnych, ale nie zasługujących, by zajmowano się poważnie ich „dzikiemi pretensjami”.

Nawet dzienniki, w wyrażeniach wstrzemięzliwe i utożsamiające z taktem kulturę (której posiadania są, naturalnie, pewne), w akcji suфраżystek widziały jedynie „awantury” i „wybryki”. I gdyby tak przypadkiem uczyniono którego z naszych dostojnych redaktorów prezydentem policji londyńskiej, pewno miałby chwilę wątpliwości, czy nie należy po prostu oćwiczyć agitatorek różgami.

Co dla niego były to tylko rozczochrane wichrzycielki i nic więcej.

A teraz proszę sobie wyobrazić, co dzieć się musi w głowie przeciętnego czytelnika gazet polskich, gdy się raptem dowiaduje z depesz, że owe „warjatkę”, „awanturnicę”, „krzykaczkę” etc. — są już bardzo bliskie zwycięstwa; że po ich stronie staje większość ministrów najkulturalniejszego państwa; że urzeczywistnienie ich żądań jest kwestją conajwyżej lat kilku?

Jestem pewien, że nie jeden z tych czytelników zawoła w pierwszej chwili: „ależ to niemożliwe!”. A gdy wreszcie oczywistość niedowierzanie

jego obali, będzie się macał po mózgowicy, czując w niej bigos.

I nie dziw. Taka niespodzianka.

A jednak...

Faktem jest niezbitym, że wytrwała agitacja suфраżystek, z której do nas dobiegały jeno echa występów terrorystycznych (stanowiących pośledniejszą część akcji), o słuszności ich żądań przekonała najświetlejsze w Anglii umysły. W związku z tą agitacją powstało stowarzyszenie mężczyzn, popierających równouprawnienie polityczne kobiet, a wpływy jego sięgnęły do najwyższych sfer w społeczeństwie i państwie.

Dziś, jak się rzekło, po stronie reformy stanęła większość ministrów z dzielnym Lloydem George'm na czele. A Lloyd George — to dostojnik, wpływowo przede wszystkim z racji swej olbrzymiej popularności w narodzie. Niezlizzone koła jego zwolenników nie ustają w manifestowaniu żywej dla ministra sympatii: obdarzają obywatelstwami honorowemi, po klubach wieszają portrety i wydają życiorysy, w których sławią niepospolity umysł i znajomość potrzeb kraju.

I oto ten właśnie minister Jego Królewskiej Mości, a zarazem mąż zaufania narodu, jest stanowczo za nadaniem kobietom praw politycznych. Sojusznikami zaś jego są: sir Edward Grey, lord Morley, lord Haldane, lord Beauchamp, mr. Birrel, mr. Buxton, i mr. Rumeiman. Poza tem Churchill, pierwszy lord admiralacji, zgadza się na równouprawnienie kobiet, ale warunkowo. Jedynym zdeklarowanym przeciwnikiem jest sam prezydent gabinetu — Asquith.

Wobec stanowiska, zajętego obecnie przez większość ministrów, jako też wobec tego, że w lipcu r. 1911 w parlamencie 299 głosów opowiedziało się za postulatem suфраżystek, a tylko 189 przeciwi — wycofany został rządowy projekt ogólnej reformy wyborczej. Artykuł I tego projektu głosił, że „w spisie wyborców każdego okręgu znajdować się mają te osoby *pleci męskiej*, które... i t. d.

Gdyby w tem brzmieniu artykuł powyższy został uchwalony, było by to odroczeniem sprawy równouprawnienia kobiet na długi szereg lat. Tego jednak nie życzą sobie najmiarodajniejsze w Anglii czynniki. To też nietylko zgłoszona została przez ministra Greya poprawka, żądająca skreślenia słów: „pleci męskiej”, ale równocześnie przedstawiono Izbie 3 nowe wnioski.

Pierwszy, najradykałniejszy, zgłosił członek partji robotniczej Hendersen. Żąda on powszechnego prawa głosowania dla osób pełnoletnich obu płci. Reforma taka stworzyłaby 13 milionów wyborczyń — więc o półtora miliona więcej, niż wynosi liczba wyborców męskich.

Drugi wniosek — radykała Dickinsoņa, przyznaje prawo głosowania kobietom, liczącym powyżej lat 25-u wieku i posiadającym własne (albo wspólnie z mężami) domy lub mieszkania. Wedle tego projektu, liczba wyborczyń stanowiłaby 6 milionów. Wniosek ten ma jedną wszakże słabą stronę. Oto reforma obowiązuje tylko w Anglii, Szkocji i Walji. Do Irlandji zaś nie ma być stosowana, zgodnie z wolą większości posłów irlandzkich. Głosując za tym projektem, irlandzcy daliby Angli to, czego sami u siebie mieć nie chcą. Taka zaś ingerencja irlandczyków w sprawach Anglii wywołałaby niewątpliwie bardzo silny protest.

Ale nie należy sądzić, jakoby tylko partje postępowe były za nadaniem praw politycznych kobietom. Do zadośćuczynienia żądaniom suфра-

żystek skłonna jest również część unjonistów. W ich to imieniu, przedstawił Lyttleton trzeci projekt, nadający prawo głosowania do parlamentu tym kobietom, które są już wyborczyniami do rad gminnych i powiatowych. Liczba ich dosięga 1.200,000.

Oczywiście, mimo wszystko, co się rzekło, lata jeszcze będą musiały upłynąć, nim kobiety angielskie zasiądą w Izbie gmin. Sprawa nazbyt jest złożona i w zbyt wielu punktach zawadza o najrozmaitsze instytucje żywotne, by mogła być załatwiona z dnia na dzień. Niemalże zresztą ma i przeciwników jeszcze, którzy niczego nie zaniebają, by udaremnić tę doniosłą reformę.

Idzie tu w ząkże o rzecz inną. Mianowicie, o zwrócenie uwagi, jak wątpliwą wartość ma oświeclanie europejskich, kulturalnych, spraw postępu społecznego przez nasze dzienniki.

O ruchu sufrażystek—powtarzam—pisały one i piszą wciąż bardzo dużo. Z głosów tych jednak, przedstawiających sprawę, jako zasługującą tylko na płaskie szyderstwo, nikt nie mógł się domyślić, że jest to kwestja, oddawna już traktowana poważnie przez mężów najznakomitszych i szybkim krokiem zbliżająca się do rozwiązania w myśl—owych wysmiewanych „awanturnic“.

B. H.

▷○○○○○○○○◁

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy. Kwiaty białe.

*Jest chwila, kiedy błękit mgłą się pławi,
Gdy w równej mierze stoją blask i cienie;
Wtedy z przepaści, co się słońcem krwawi,
Splywa na obszar pól i wód milczenie.*

*I żaden powiew, ani czyje pióra,
Nijaka fala ciszy tej nie niesie,
Wszystko się staje tak, jak mgły tej chmura
I wszystko w srebrnym gubi się bezkresie.*

*Ni jakiej barwy, ni żadnego kształtu,
Wszystko opływa w nieskończoną mglistość;
Zda się, że świata rzeczy, co się stał tu,
Wychodzi na jaw inna oczywistość.*

*Dusze się w uścisk bezcielesnie chylą,
Sny odrywają się od serc i błędzą,
Wieczność się staje czasu snem i chwilą,
A życie wiecznych prawd bezkresną żądzą.*

*Wtedy, w te cisze jakby już pozgonne,
Na fale dziwne, świetlną mgłą nabrzmiałe,
Wschodzą, — bezbarwne, czyste i bezwonne,
W nieskończoności siane... kwiaty białe.*

○○○○○○○○○○

TEATR ZIMOWY.

(„Dwanaście żon Jafeta.“—Benefis Dyrektora J. Pawłowskiego: „Sąd“ — „Żagiew“).

Jeszcze jeden wodewil.

Ale tym razem udany, bo bezpretensjonalny i pełen humoru, wybuchającego na widowni salwami szczerzego śmiechu.

Dwanaście żon Jafeta Petersona — to zamęt wesołości, ruchu, sytuacji zabawnych i groteskowych — to istny popis dla p. Dąbrowskiej, afektującej z niemalą dozą temperamentu spóźnione uczucia miłosne. —

To popis dla p. Jerzyńskiego, któremu zarówno jako aktorowi wodewilowemu, jak i ruchliwemu reżyserowi należy się rzetelna pochwała. „Dwanaście żon...“ wydobyto z biblioteki nie na próżno.

Wilno bawiło się na przedstawieniu premierowym — bawić się też będzie na przedstawieniach następnych.

Stąd kredyt dla dyrekcji, która robi krok dość ryzykowny i wystawia nam oto „Sąd“ — utwor Halicza (pseudonim kobiecy), nagrodzony na konkursie Warszawskich Teatrów Rządowych.

Nazywamy ten krok *ryzykownym*, bo dotychczas jeszcze granie u nas sztuki autora polskiego jest eksperymentem stokroć poważniejszym niż wystawienie sztuki firmy obcej; nazywamy ten krok *ryzykownym*, bo prócz niewielkiej ilości pisarzy en vogue, do których poza Zapolską, Krzywoszewskim, Gorczyńskim i t. d. — należy nader szczupłe grono naszych twórców dramatycznych, mało kto może się poszczycić żywszem poparciem naszej publiczności teatralnej, której snąc nazbyt wiele mówi Jean, Hugo, Maurice, Gerhard, Bernard — by mogła w pełni odczuć, co na polskiej luteńce zagra polskiej muzie cierpiętnik — tylko dlatego cierpiętnik, że się rodził w Polsce i... dla Polski.

Aliści „Sąd“ nie upadł na pierwszym przedstawieniu. Przeciwnie. Obudził żywe zainteresowanie, polemiki, pełne zacięcia, poruszył kwestje zasadnicze — — : o istocie duszy mieszczańskiej, o istocie winy i kary, o istocie duszy polskiej kobiety, która raczej upadnie w omdlenie, nim powie miłośnie: „tak“; — która raczej poświęci się do granic... małżeństwa, lecz winy nie przebaczy — bo ma zasady, bo ma siłę i hart, bo ma w całym splendorze „das Ewigweibliche, das Keusche und Reine“... etc.

A więc „Sąd“ spodobał się ogólnie, choć zastrzeżeń było coniemniara.

Zastrzeżenia te podzielimy całkowicie — najgłówniejsze sformułujemy pokrótce.

Faktura: naiwna, miejscami nazbyt kwiecista, miejscami niepotrzebnie rozpoetyzowana, co w sztuce realistycznej robi akurat tak, jak ozdobienie misterną ornamentacją przedmiotu wulgarnego.

Teza: ustawiona silnie i z dużym nerwem scenicznym, ale — — tu mamy znowu ale.

— Poco każdy z aktorów sztuki powtarza nam ją we własnym oświetleniu aż nazbyt dobitnie — do znudzenia?

Sytuacje: poszczególne z nich usposabiają nas bardzo krytycznie. —

Tak naprzykład scena *Sądu* przy obiedzie, gdzie snąc chochlik sceniczny płata autorowi figle, gdyż miast wrażenia konfliktu o silnym napięciu dramatycznym — otrzymujemy efekt trochę

kim nakładem pracy i środków. Składają się one z biblioteki, liczącej około 65.000 tomów, około 3.000 rycin, przeszło 1.000 map. i t. p., z archiwum, obejmującego ok. 5.000 rękopisów i przeszło 10.000 aktów, dokumentów, listów i autografów, z kolekcji godeł, pieczęci i dokumentów masonskich oraz z niewielkiej, lecz cennej galerji obrazów i rzeźb.

Wszystkie te zbiory mieszczą się w mieszkaniu prywatnem ich dotychczasowego właściciela. W celu umożliwienia korzystania z nich publiczności ma stanąć specjalny gmach na placu ofiarowanym przez fundatora. Nadto p. Wróblewski przeznaczył na rzecz budowy 40.000 rubli w gotówce.

Tak więc właściwie nowe Towarzystwo przychodzi do gotowego. Obejmuje ono w posiadanie i zarząd magnacki dar, jak na nasze stosunki — zgoła wyjątkowy.

Spółceństwo nasze będzie mogło korzystać z bogatej instytucji, nie łożąc jednocześnie na nią żadnych kosztów. Jakie wyrazić ono zdoła swą wdzięczność hojnemu ofiarodawcy?

Należy mieć na widoku dalszą perspektywę.

Na razie opieka założyciela i szczupłego grona członków T-wa (liczba tych jest ograniczona i nie może przekroczyć cyfry 99) niewątpliwie zapewni bibliotecę spokojny byt i normalne funkcjonowanie. Wobec jednak zamkniętego charakteru Towarzystwa budzi się obawa, jaki los ją spotka w odległej przyszłości.

Biblioteka jest organizmem żywym i nie może pozostawać w tym samym stanie, jak przy swych narodzinach. Potrzebuje ona wciąż nowego dopływu soków żywotnych w postaci książek i pism. Inaczej staje się zabytkiem muzealnym, mającym bardzo pośrednie znaczenie kulturalne. Uzupełnianie zaś księgozbioru z uwzględnieniem chociażby najważniejszych istniejących w niej działów, wymaga ogromnych środków pieniężnych.

Budowa i urządzenie gmachu pochłonie prawdopodobnie wszystkie zasoby, jakimi Towarzystwo obecnie, na mocy aktu donacyjnego założyciela, — rozporządza. Przypuśćmy, że wpłynię jeszcze jakaś znaczniejsza suma. Odsetki z niej może wystarczą na utrzymanie instytucji t. j. gmachu i personelu ją obsługującego. Na zakup nowych książek, prenumeratę pism, oprawę etc. potrzeba będzie pieniędzy i to niemałych. Skąd się one mają wzięść. skoro Towarzystwo nie może rachować, wzorem innych, nawet w zasadzie, na swój rozrost i ewentualny dopływ składek członkowskich?

Nie myślimy bynajmniej krytykować intencji fundatora. Miał widocznie poważne powody po temu, by ograniczyć liczbę członków i nie oddawać instytucji na łaskę i niełaszkę społeczeństwa. Wyposażył ją hojnie i założył mocne podwaliny.

Mimo jednak swego charakteru zamkniętego biblioteka im. Wróblewskich nie przestaje być instytucją społeczną. Społceństwo też powinno o niej pamiętać.

W jaki sposób?

Jedyną formą odpowiednią może tu być zwiększenie kapitału żelaznego, tak aby odsetki wystarczały nie tylko na utrzymanie biblioteki, ale i na pomnażanie księgozbioru. O drobnych ofiarach mowy w danym wypadku być nie może. Lecz większe pojedyncze zapisy i legaty nie należą wszakże do niemożliwości. Zmarły świeżo Bolesław Rusiecki wskazał drogę, która powinna znaleźć niejednego naśladowcę.

Słyszeć się dają głosy, że nowo założona instytucja wytworzy niepotrzebną konkurencję istniejącemu już dawniej Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Czyżby jednak Wilno nie było godne posiadać dwóch insty-

tucji kulturalnych o charakterze pokrewnym? Wilno, stolica kraju, z tradycjami uniwersytetu i takimiż aspiracjami? Nie rywalizować ze sobą będą dwie książki, lecz wzajemnie się uzupełniać. Dla pracowników na polu nauki i literatury stanowić to będzie niezmiernie ułatwienie.

a.

▷○○○○○○○○◁

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Andrzej Strug. *Portret.* (powieść) str. 266. Warszawa (bez daty) wydaw. spółki nakładowej „Książka” E. Wende i S-ka.

Jeszcze jedna krwawa, z wnętrza serca ludzkiego wyrwana książka! Książki takie są rzadkością. Nie chodzi w nich o tę czy inną fabułę, o ten czy inny zatarg psychologiczny, lecz o bezpośredni rachunek sumienia ludzkiego. Patrzą wyteżone oczy w rzeczywistość i nie znajdują w niej dla siebie oparcia. W bezkresie tonie wejrzenie ludzkie, szaleje z samotnej swojej świadomości umysł, kurczy się i niemieje dusza.

Siewierski ukochał przesłodką grę kolorów, ukochał słońca djonizejskie, słaniające się po jego palecie, aż oto zrodziła się w jego sercu zachłanna miłość dla okropnej, niszczącej Kory, rewolucji. Ach, jak pragnąłby znaleźć most porozumienia między swoim a jej światem! Lecz te dwa przeciwległe bieguny nie mogą się spotkać ze sobą. We Francji, w Anglii — rzeczy takie są możliwe. W życiu polskiem kto ukochał ideję rewolucji, wyrzekł się tem samem radości, wyrzekł się słońca. Zejść musi on do ponurych podziemi na zatracenie, użyźnienie kośćmi swojemi pola, z którego kiedyś dopiero zrodzą się bujne plony.

Okropna jest ta rzeczywistość polska. Trudno się z nią pogodzić, ale coż zrobić, trzeba ją widzieć tak, jak ukazuje się naszemu oku.

Chciałby pogodzić świat swój Siewierski z ukochaniami Kory, lecz próżny trud. Oddała się życiem swoim radosnej a ponurej idei, musi więc umrzeć.

Odczytał Siewierski w dziennikach wiadomość o jej śmierci bohaterskiej i zapadł w głęboką zadumę. Chciałby choć w marzeniu odnaleźć wspólne podłoże, wspólny fundament. Głębiny jednak odszukania takiej podstawy są zawrotne. Nawet marzenie nie zawsze sprostać może takim zadaniom. Na skrzydłach artystycznych swoich wizji wzlata ponad domówstwu ludzkie, a szare, błotne niziny wołają o swoje prawa. Dyktują one żelazne kategorie dla przyszłości, budują ją w trudzie i mozole.

Dla stroskanego serca są one tajemnicą. Gdzie spojrzeć bowiem usuwa się grunt pod nogami. Ludzie kłócą się o ten lub inny drobiazg, a nie widzą, że zanika polskość nasza. Wyraża ciągle przepaść między słonecznym światem marzenia, a światem rzeczywistości. Życie nie daje podstaw żadnych do marzeń, co więcej obdziera nas ze wszystkich złud. A serce artysty pełne jest przecież legend o Walgierzu Udałym!

Świadomość tej przepaści wprawiła w obłęd Siewierskiego. Zwarjował on, gdy spojrział w oczy cudu, który stworzył, w oczy portretu, który wymalował.

Gdyby mógł znaleźć jakie takie ukojenie w rzeczywistości — malowałby dalej spokojnie swoje arcydzieła. Ale ukojenia niema! Życie polskie

otwiera coraz to większe przepaści przed świadomością naszą.

Kto w taką przepaść patrzył choć przez chwilę, nosi na sobie stygmat tragedji, jaka omotała mózg Wyśpiańskiego i przesładowała go aż do grobu. Strug podjął znów pracę nad budowaniem hartu dla dusz, by przetrwały te lata okropnej męczarni, bo może nigdy jeszcze nie staliśmy tak nad brzegiem kontradykcji w życiu zbiorowym, jak obecnie. Nawet ludzie o lotach orlich nie widzą wyjścia z tego smutnego chaosu.

Siewierski zwarjował, bo nie znalazł drogi realnej w przyszłość, bo nie mu nie wróżyło pewności, że kiedyś hymn zdobywcy przerodzi się z zatracenia w pieśń radości i wesela.

Nowa powieść Struga dorzuca znów gromadę pereł szacownych do skarbcza naszej literatury. „Ojcowie nasi“ rozkwiliły w nas wszystkie struny uczuciowości, obudziły Irydjonowe loty, ale „Portret“ woła nas znów do porządku i trzeźwi.

Niektórzy krytycy zastanawiali się szczegółowo nad stosunkiem—Siewierskiego do pani Narcyzy, doktora Krysztalewiczera oraz całej bandy malarzy. Analiza taka nie jest bezwartościowa, ale trzeba się liczyć z faktem, że „Portret“ nie jest powieścią rodzajową, lecz głęboką refleksją artysty nad rzeczywistością naszą.

Gdy jedzie on do Paryża do znachorów, by wywołali mu cień Kory, to przecież nie po to, żeby czytelnik dowiedział się o paryskich wróżbitach i szarlatanach. Chodzi tu o roznoszenie niedostojnej umizgi do różnych politycznych cudotwórców, co to sprawą polską zajmują się, jak ekstrawagancją.

Wogóle powieść ta powinna być czytana nie jak „prawdziwe zdarzenie“ z kroniki kurjerkowej, lecz jak bolesny skurcz jasnowidzenia o życiu naszym społecznym. Kto ją inaczej chce czytać—nie wiele odczyta.

Ale przeczytać powinien każdy...

T. Jaroszyński. *Za wieku starego.* (powieść) str. 223. Warszawa 1913. Skład. głów. Centnerszwer i S-ka.

Zwyczaj miasta polskiego podał Jaroszyński w barwnej i bogatej swojej opowieści. Opisał przygody imcipana Trzaski podpisarza krakowskiego, który „gesta sądu karnego do księgi nadobnie wpisać był powołan“.

Ten to Trzaska odwieczera pewnego został porwany przez zbiorów jakiegoś jegomości magnata i odwieziony na prześwietny zamek. Tu ożeniono go; nie wiedział kiedy i za co wtrącono do lochu na długie rekolekcje. Za żonkę dano mu nadobną Kasię, ale trzymano ją od niego daleko zasię.

Perypetje miłosne Kasi są nadzwyczaj zajmujące. Była nadobną wnuczką jakiegoś lwowskiego kupca, zadurzyła się w jakimś chłystku, poszła za nim z domu, on zaś przegrał ją w kości. Wydano ją wreszcie na pośmiewisko za mąż za cherlawego pisarzczykę.

Żałośny koniec jest tej fantastycznej, jak gdyby z kronik za czasów rządów Bony, wypisanej anegdoty. Zwidziało się cnym ludziskom, że małżonka Trzaskowa trzyma z djabłami, a więc z tumultem i krzykiem napadli na dom ich ciury. Trzaska broniąc swoją połowicę, łeb uciał Jorgowi Szylingowi, który to „kat był na białołowy okrutny, ile że mówią doma rogal wierutny.“

Za głowę to tego Jorga miał dać Trzaska gardło, ale go sobie na pomocnika wyprosił magister justitiae vulgo kat. Kasia zaś, podobno, uciekła z malarczykiem jakimś w świat szeroki. Nie jest to jednak pewne, bo inni mówią, że na miotle pojechała, jak Twardowski.

Zresztą jest to zupełnie obojętne, co się z nią stało. Dostyć że przez czas całej swojej obecności w opowieści Jaroszyńskiego służy ona doskonale za pyszny ekran, na którym wymalowano dosadnie i mistrzowsko zwyczaj panujące za wieku Jagiellonów.

Szereg plastycznych typów uzupełnia świetny w swoim rodzaju obraz obyczajowy epoki. Język archaizowany szczęśliwie, nawet faktura powieści umyślnie przeprowadzona w sposób kronikarski.

Powieść Jaroszyńskiego godna jest ze wszechmiar, by ją przeczytano. W literaturze powieściowej ostatnich kilku lat zajmuje miejsce poczesne.

Eustachy Czekalski.

▷○○○○○○○○◁

PRASA POLSKA.

— Bardzo rozumne uwagi wypowiada p. K. Srokowski w ostatnim numerze „Krytyki“ na temat aktualnej obecnie w Królestwie kwestji żydowskiej.

„Obserwacja życia i historia uczą dowodnie, że wszelkie „antyizmy“ rasowe, narodowe i religijne towarzyszą stale epokom upadku wewnętrznego, zastoju i rozstroju. W okresach wzrostu i rozwoju, kiedy pnie się wszystko do góry śmiało i silnie, kiedy naród w swych tkankach czuje radosny nadmiar siły życiowej i twórczej, nie ma on poprostu ani czasu ani potrzeby zajmować się swoimi wrogami wewnętrznymi, których obecności nie odczuwa nawet. Otwiera się przed nim takie pole szerokie a puste nieziszczonych możliwości twórczych, widzi on przed sobą tyle zadań, piętrzących się coraz wyżej i wyżej, że za współpracownikami ogląda się i zwołuje ich do siebie, a nie wypatruje ze strachem rywali.

Ale mija okres siły i zdrowia. Nadechodzi słabość, beznamiętność i choroba. Naród jak chorego. Instynktownie zaczyna szukać przyczyny tego niedomagania swojego i znalazłszy coś niepodobnego do siebie, które pretenduje na indywidualne istnienie, woła radośnie: A tuś mi! I dusić próbuje to coś innego, nie pomny, że resztę sił zużywa na coś, co go jeszcze bardziej osłabi.“

Nacjonalizm wszelki, pojmowany jako egoistyczna ekskluzywność i nietolerancja i zawiść i nienawiść, nie jest niczem jak tylko tym nadmiernym egoizmem chorego, który bole swoje i braki chce uczynić osią świata nieledwie. I nie ludzimy się tem, że w ideologii wszelkiego nacjonalizmu kult siły narodowej zajmuje tak wielkie miejsce. Przesadność tego kultu i sprzeczność, w jakiej z reguły pozostaje on z rzeczywistością, dowodzi właśnie, że jest on znamię i skutkiem słabości. Człowiek silny nie obmacuje co chwila swoich bicepsów i nie powtarza sobie po cichu lub głośno: jestem silny, chcę być silnym, muszę być silnym. On poprostu jest silnym i basta. A oznaką tej siły jest przedewszystkiem to, że nie ma on co do niej żadnej wątpliwości.

Autor czyni, między innymi, trafną uwagę, że żydzi mieszkają w Polsce od lat przeszło sześciuset. W ciągu tego czasu naród polski wnosił się nieraz bardzo wysoko i osiągał bardzo górne poziomy rozwoju politycznego i kulturalnego. Dlaczegoż wówczas żydzi nie stali temu na przeszkodzie? Nawet w okresie upadku politycznego ileż to razy żydzi przeszkodzili w dokonaniu czynu, gdy sami polacy mieli odwagę?

„Przeciwie przykład przebiegu tak zwanej „rewolucji moralnej“, która poprzedziła wybuch styczniowy

uczy, że właśnie w okresie największego podniesienia się ducha narodowego symbioza z żydami zaciętnała się do stopnia niemal nieprawdopodobnego. Wszak był to czas, kiedy żydzi chodzili w procesjach kościelnych, kiedy do kościołów znosili dary i kiedy polacy naodwrot okazwali szacunek głęboki dla Beerów Majzelsów i innych nadrabinów. Cóż to stało się, że dzisiaj synowie tych samych żydów a może nawet i niektórzy z nich samych nazywają orla polskiego „kaczką” i z nienawiścią spoglądają na każdy niemal objaw polskiego życia narodowego?

Zapewne zmieniły się żydzi. Ale czy tylko oni. Czy to tętno życia narodowego naszego, czy jego polot i kierunek nie uległy także jakiejś bardzo zasadniczej zmianie? Czy to życie nasze narodowe reprezentują i ucieleśniają w sobie ci sami idealisci, marzyciele, zapewne szaleńcy nawet, ale o ileż w gruncie rzeczy mądrzejsi od dzisiejszych „nowoczesnych polaków” i egoistów narodowych, którzy kandydując w Warszawie prawią wiele o potrzebie klów i pazurów, a pojechawszy do Petersburga, nie drapia bynajmniej i nie gryzą, ale—całują się z Bobryńskimi i na wyścięgi z Puryszkiewiczami kontyngienty rekrutów uchwalają.

Może być, że ta idea nasza narodowa w dzisiejszej jej aż nazbyt powszechnej interpretacji i rozumieniu utraciła zbyt wiele ze swej siły przyciągającej, być może, że między słowami a czynami potworzyły się próżnie zbyt wielkie i bylejakim gałganiem wypełnione, aby masę z tradycji i życia obce, odpychane, pogardzone, przedewszystkiem zaś w takim pojmowaniu idei narodowej bezpośrednio nieinteresowane, zagrać, porwać i przyciągnąć...

Czy nie myli się tylko p. Srokowski, przypuszczając, że obecny prąd antysemitki skierowany jest przeciwko „litwakom” i żydom nacjonalistom? Ostatnie zajścia i głosy prasy warszawskiej wskazują, że z niemniejszą zaciekleścią antysemitizm atakuje żydów—asymilatorów, że właśnie dąży do tego, aby odstreczyć masę żydowskie od kultury polskiej, zagrozić im dostęp do niej, uchronić naród polski od dopływu sił, rasowo obcych.

„Zginął duch starej kultury szlacheckiej, duch zaś nowej kultury demokratycznej, mieszczańskiej jeszcze się nie ukształtował i stroi się w błyszcząco strzępy wspaniałej szaty, która nie na jego miarę była skrojona. Dlatego też wygląda jak subjekt w sklepie bławatnym ze skrzydłami husarskimi na plecach i z lancą strasliwą pod pachą...”

Ta dziwaczna mieszanina budzi właśnie ów niesmak, któremu trudno się oprzeć, gdy się patrzy na historyczne objawy walki z żydami w Królestwie.

oooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Przesilenie, przeżywane od paru miesięcy przez Europę, ma tę cechę charakterystyczną, że każde zachwianie chwilowych i niezawsze usprawiedliwionych fal optymizmu, wywołuje przez reakcję natychmiast obawy paniczne. Tak samo stało się i teraz. Panika, jaka ogarnęła całą Europę, nie byłaby tak bezwzględna, gdyby nie poprzedzał jej paratygodniowy okres optymizmu, do którego nie podstaw nie dawało.

Sytuacja chwilowa jest w samej rzeczy ciężka i niebezpieczna, ale nie składają się na nią żadne nowe fakty, nie spowodowały jej żadne zwroty nieoczekiwane, żadne zmiany w ustosunkowaniu sił politycznych Europy. Prostu Europa zbliża się do momentu, w którym wypadnie rozstrzygnąć kwestję, oddawna nakreślone przez bieg wypadków. Na nadejście tego momentu należało być przygotowanym od chwili, kiedy przesilenie bałkańskie, ogarnęło owe olbrzymie kręgi.

Niebezpieczeństwo koncentruje się w trzech punktach, z których dwa pierwsze łączą się organicznie. Kwestja albańska, czyli walka o wpływy na Zachodzie bałkańskim i kwestja zatargu rumuńsko-bułgarskiego, pozostają w dalszym ciągu narzędziem, które służą Austro-Węgrom do utrwalenia swych prerogatyw ekonomicznych i politycznych na półwyspie, po dokonanych tam przewrocie, niekorzystnym z punktu widzenia Wiednia. Główne niebezpieczeństwo Austro-Węgry przewidują ze strony Rosji, która z natury rzeczy patrzyć musi na przewrót bałkański w sposób wręcz przeciwny.

Ostatnim z trzech wspomnianych punktów są Dardanele, które, sądząc z ostatnich depesz, w krótkim czasie wywołać mogą nowe i groźniejsze jeszcze niebezpieczeństwo.

Najbardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo tkwi w zatargu rumuńsko-bułgarskim, który drogą znanych już inspiracji, dojrzał dostatecznie, aby w każdej chwili mógł wywołać konflikt zbrojny. Wybuch wojny między Rumunią a Bułgarią bynajmniej nie jest uzależniony od rokowań, prowadzonych zresztą przez ks. Ghikę, w duchu bardzo pojednawczym. O wojnie, lub pokoju decydować będzie skłonienie się orjentacji politycznej Rumunji ku Austrii, lub ku związkowi bałkańskiemu. Wahają się jeszcze w Bukareszcie dwa prądy, a zwycięstwo jednego, lub drugiego jest całkowicie w rękach Wiednia. Dlatego też naiwnością byłoby przypuszczać, że zatarg rumuńsko-bułgarski może być rozstrzygnięty przez sąd rozjemczy w Hadze, skoro samo jego rozstrzygnięcie mogłoby nastąpić z łatwością na drodze obecnie prowadzonych rokowań.

Powyższe wyjaśnienia wyraźnie wskazują, jak ściśle łączy się zatarg rumuńsko-bułgarski z kwestją albańską, również uzależnioną od dobrej woli Austrii. Austrija musi poprzestać na swem zwycięstwie dyplomatycznym w sprawie dostępu Serbji do Adryatyku, lub też musi uznać, że utrwalenie jej wpływów na Zachodzie bałkańskim wymaga bezwzględnie nowych jeszcze podstaw.

W chwili obecnej dyplomacja austro-węgierska skłania się raczej ku drugiemu z tych poglądów i zdradza bardzo małe zaufanie do konferencji ambasadorów, mającej rzekomo znaleźć kompromis w sprawie Albanji niezależnej. Wpływowe organy prasy wiedeńskiej i peszteńskiej wszczęły energiczną kampanję przeciw konferencji ambasadorów, usiłującą zdyskredytować pracę „sześciu palaczków cygar”. Ta kampanja wskazuje, jak mało opinia Austro-Węgier wierzy w możliwość znalezienia kompromisu w kwestji albańskiej, którą z podobną bezwzględnością traktują też niektóre sfery społeczeństwa rosyjskiego.

oooooooooooo

KRONIKA.

== Wystąpienie Koła Polskiego.

Korespondent petersburski „Kurjera Porannego” telegrafuje:

„Koło Polskie poselskie nazywa potwarzą wiadomość o propagandzie przeciwrosyjskiej w Królestwie Polskiem na wypadek wojny.

Posłowie polscy oburzeni są na ową potwarz i twierdzą, że wiadomość lwowskiej nie w Królestwie nie usprawiedliwia. Na całym terenie Polski, znajdującym się w obrębie państwa Rosyjskiego, o niczem podobnem nie myślą.

— Polacy doskonale rozumieją — twierdzą posłowie polscy — że pierwszą ofiarą na wypadek wojny stałaby się Polska w obrębie państwa Rosyjskiego“.

Wiadomość powyższa wymaga ścisłego sprawdzenia.

— W Tow. Kultury Polskiej.

Przed kilku dniami odbyło się powtórne zebranie członków T-wa Kultury Polskiej w Warszawie. Tym razem wnioski centrali uzyskały większość. Przemówienia mówców obracały się w toku argumentów znanych już i stwierdzonych ze stron obu. Opozycja zaprotestowała tylko silnie przeciw narzucaniu jej niepolskiego stanowiska.

Do Zarządu zostali obrani Aleksander Świętochowski, Janina Bemówna, Władysław Chrzanowski, Stefan Mierzejewski, Stefan Perzyński, Marjan Grotowski, Wacław Lypaciewicz, Klemens Pawlikowski, Władysław Grabowski, Jan Baliński, Lucjan Orłowski i Kazimierz Życki.

Wniosek złożenia holdu Świętochowskiemu przyjęto przez aklamację.

— Konfiskata „Marji Magdaleny“.

Dzienniki krakowskie donoszą, że powieść G. Danilowskiego p. t. „Marja Magdalena“, która wyszła z druku nakładem wydawniczej spółki „Książka“ w Krakowie, została przez władze austriackie skonfiskowana. Autor osnuł tę powieść na tle ewangelji. Kreśli on obraz zmysłowości i rozwiązłych obyczajów upadającego świata starożytnego i odbijającą od tego tła postać Chrystusa, oraz jego naukę miłości idealnej i czystości. Fabułę stanowi nawrócenie się jawnogrzesznicy Marji Magdaleny. Niektóre części tej powieści, drukowane poprzednio w różnych pismach, częściowo skonfiskowano, ale wskutek interwencji posła Regera konfiskatę zniesiono i ustępy inkryminowane weszły do wydania książkowego w całości. Obecnie prokuratora krakowska zarządziła konfiskatę całej powieści z powodu innych, dotychczas drukowanych nie ogłoszonych ustępów, opisujących obyczaje świata pogańskiego. Sąd krakowski konfiskatę zatwierdził.

Fragment „Marji Magdaleny“ był drukowany w naszym piśmie, w zeszłym roku.

— Instytut handlowy w Mińsku Litewskim.

Sprawa założenia instytutu handlowego w Mińsku litewskim posunęła się naprzód. Zarząd miejski wyasygnował na ten cel 20 tysięcy rubli, komitet zaś geldowy wraz z zgromadzeniem kupiectwa mińskiego — 30 tysięcy.

Przedstawiciele giełdy czynili w tej sprawie starania w ministerjum handlu. Możliwe jest uzyskanie pozwolenia na założenie instytutu z prawem przyjmowania żydów bez ograniczeń. W tym wypadku osoby, kończące instytut, nie otrzymywałyby praw, jakie daje ukończenie wyższego zakładu naukowego.

— Echa sprawy mecenasa Patka.

Dnia 28 stycznia w moskiewskim towarzystwie prawniczem adw. Zarudnyj z Petersburga wygłosił referat na temat „Tajemnica adwokacka“.

Referent podkreślił ostatnią decyzję senatu w znanej sprawie mec. Patka. Sprawa ta jest jednym z tragicznych przejawów społecznej Temidy rosyjskiej i, zdaniem referenta wszyscy, którym drogą jest idea prawa winni wszelkimi siłami waleczyć z podobnym niesłychanym deptaniem prawa.

Zebranie jednogłośnie uchwaliło wysłać następującą depezę do mec. Patka:

„Towarzystwo prawnicze moskiewskie, wysłuchawszy referatu Zarudnego „Tajemnica adwokacka“, śle Panu wyrazy głębokiego szacunku dla Pańskiej działalności adwokackiej, wyrażając przekonanie, że Pan powróci do szeregów adwokatury, w której zasłużenie zajmował Pan miejsce honorowe“.

— Statystyka kar prasowych.

W styczniu r. b. skazano 30 wydawców na kary pieniężne przez władze administracyjne. Ogólna suma tych kar wynosi 9 tys. rubli. Na mocy wyroków sądowych skazano na kary pieniężne 5 pism.

Areszt nałożono na 35 wydawców, sprawy sądowe wytoczono 20 redaktorom. 3-ch redaktorów skazano w drodze administracyjnej na 3 miesiące aresztu bez zamiany na grzywnę.

— Projekt ustawy prasowej.

„Riecz“ donosi, że zasady projektu ustawy prasowej nie są jeszcze ustalone. Nowy minister spraw wewnętrznych uznaje za rzecz niezbędną opracowanie środków w tym celu, żeby konfiskaty numerów pism, w których zarząd do spraw prasowych dopatrzył się cech przestępstwa, było dokonywane

we właściwym czasie i nie miały charakteru fikcyjnego. Stąd powstał projekt, by pisma przed wydaniem numeru przesyłały odbitki korektowe treści numeru.

Ponieważ myśl ta nie zyskała aprobaty większości Dumy, przeto ministerjum zbiera obecnie informacje, jaki wpływ może wyrzucić żądanie przedstawiania odbitek korektowych zarządowi do spraw prasowych, na opóźnianie wydawania pism.

— Fatalny debiut.

W Kijowie ukazał się pierwszy numer pisma robotniczego „Golos Truda“.

Z rozporządzenia gubernatora redaktora tego pisma, Swirskiego skazano na trzy miesiące więzienia bez zamiany na karę pieniężną, numer dany skonfiskowano, a redaktor odpowiadać będzie przed sądem za wszystkie artykuły, jakie dostały się do numeru.

— Sprawy finlandzkie.

Po całym szeregu projektów, z których niejedne są już urzeczywistnione, a zmierzających do zjednoczenia Finlandji z Cesarstwem, zamierzone jest teraz zniesienie granicy celnej pomiędzy Cesarstwem a Finlandją. Projekt ten atoli napotyka przeszkody natury poważniejszej, albowiem jego urzeczywistnienie wywołałoby przewrót w dziedzinie eksportu finlandzkiego i odbiłoby się niekorzystnie na handlu rosyjsko-finlandzkim.

Wobec tego uchwalono odroczyć na czas nieokreślony posiedzenia komisji, która miała opracować przepisy o przeprowadzeniu unji celnej.

Kwestja ta będzie poruszona dopiero przy ogólnej rewizji ustawy taryfowej rosyjskiej.

Książki nadesłane do redakcji.

„Muzy“. Biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza:

Piotra Skargi: „Kazania i pisma co najprzedniejsze“. Wybrał, objaśnił i wstępem opatrzył Wiktor Gomulicki. Cena rb. 1.15.

August de Villiers de l'Isle Adam: „Wybór nowel“. W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza. Cena 90 kop.

Ernest Renan: „Djalogi i fragmenty filozoficzne“. Przekład i słowo wstępne Grzegorza Glassa. Cena 75 k.

Sprostowanie.

Do artykułu: „Rajmund Poincaré“ w № 4 wkrały się błędy, które niniejszem prostujemy:

Str. 8 wiersz 19 od dołu zamiast — kłaniać — powinno być *kłamać*. Str. 9 wiersz 4 od góry zamiast — przecież — powinno być *Trzeciej*.

Treść numeru.

Suum cuique. — L. A.

Sprawa polska w prasie angielskiej. — Dr. K. Wrz os.

Nad Wartą. — J. S.

Arystydes Briand. — St. Posner.

Sufrażystki angielskie. — B. H.

Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbicki.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.

Na cele społeczne. — S. Okulicz.

Nowa placówka. — a.

Przeгляд piśmienniczy. — E. Czekalski.

Prasa polska. Na Widnokregu. Kronika.

Odcinek: „Piotr Buza“. — Z. Tyski.



Każdy bezwarunkowo ma możność gruntownego nauczania się
JĘZYKÓW francuskiego, angielskiego,
 niemieckiego i łaciny.

(Czytania, pisania i biegłej konwersacji)

BEZ POMOCY NAUCZYCIELA w ciągu 2-3 miesięcy, a nawet i prędzej.

(zależy to od pilności i zdolności)

stosując naszą metodę nauki, i używając naszych **SAMOUCZKÓW**.

NAUKĘ GWARANTUJEMY!

W przeciwnym razie **zwracamy pieniądze** po upływie trzech miesięcy!

Tysiące osób, należących do najrozmaitszych sfer towarzyskich nadesłały nam

WYRAZY UZNANIA i PODZIĘKOWANIA!

Żądane podręczniki wysyłamy przekazami pocztowymi.

CENA Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ: jednego Samouczka rb 1 kop. 27; dwóch Samouczków rb. 2 kop. 25; trzech Samouczków rb. 3 kop. 16; czterech Samouczków rb. 4 kop. 05.

ADRES:

St.-Petersburg, Italska № 15—140, Redakcja czasopisma „ВОЛНА ЖИЗНИ”.

Pozostające pod zarządem Ministerjum handlu i przemysłu
Kursy buchalterji N. J. i A. J. MOCHOWÓW

DLA OSÓB PŁCI OBOJGA.

WLNO, Ś-to JERSKA 44.

Podania są przyjmowane. Wykłady zostaną rozpoczęte d. 1 lutego. Opłata wynosi 100 rubli. Na kursach będą wykładane: buchalterja, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa, prawoznawstwo, języki cudzoziemskie i arytmetyka ogólna. **PROGRAMY BEZPŁATNIE.**

Kancelarja otwarta od 10-tej do 4-ej po poł.

Do nabycia książka, polecona przez Kom. Nauk. Min. Handlu i Przem.

N. MOCHOWA

Buchalterja — kurs młodszy teoria i praktyka.
Cena 1 rb. 50 k.

INTROLIGATOR
ALEKSANDROWICZ

Wilno, Tatarska, 11.

Telef. № 12-24.

PRAKTYCZNIE. ... ŁADNIE.
TANIO.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY-LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, просп. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzenie gospod. leśnych

oraz innych robót w zakres leśnictwa wchodzących.
Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Czytelnia E. ŻUKOWSKIEJ

Wilno, Skwer Ś-to Jerski 3, m. 5.

Otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 7-ej prócz niedziel i świąt.

Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń OD OGNIĄ

Założone w roku 1870.

Kapitał zakładowy	2,000,000 Rb.
Kapitały gwarancyjne	4,000,000 Rb.
Roczny zbiór premji przeszło	9,000,000 Rb.

W ciągu lat 41 istnienia Instytucji wydano ubezpieczonym 1,850,000 polis, wypłacono odszkodowań 95,000,000 rubli, przy ogólnej liczbie 51,000 pożarów.

Ogólna liczba współpracowników łącznie z agentami wynosi przeszło 1000 osób.

**Zarząd Okręgu mieści się w domu własnym Towarzystwa
w Wilnie, Prospekt Ś-to Jerski № 17.**

Dyrekcja Towarzystwa w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 7.

Reprezentacje i Agentury Towarzystwa znajdują się we wszystkich ważniejszych miejscowościach Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi.